

W sensie ścisłym

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Jacek Głomb zaprosił na scenę Teatru Śląskiego demony, lecz nie z myślą o seansie egzorcyzmów. To opowieść o wspólnocie, gdzie inni to piekło, ale też – niebo, prorocy i wszyscy święci.

■ Bartkowi Straburzyńskiemu udało się wydestylować muzyczną esencję wyimaginowanej, a przecież tak bliskiej i dobrze jakby znanej Sigły. Stworzył dla Pilchowej wsi na Śląsku Cieszyńskim soundtrack w sensie – jak lubi powtarzać jej literacki „założyciel” – ścisłym. Znajdziemy w nim ocierającą się o mistycyzm tajemniczość, lekką drwinę, kilka nutek egzystencjalnej niepewności, i czerpiący swą moc z niewiadomych, bo niewiadomych, źródeł – upór w dążeniu do usensowienia otaczającego absurdu.

Dziesięcioro aktorów, wywabionych na scenę tymi dźwiękami, bez pośpiechu zajmuje swoje miejsca. Wygląda to tak, jakby pozowali do grupowego zdjęcia, a raczej powracali do sztywnych ram kadru, który został uwieczniony kilka dobrych dziesięcioleci temu. Najprawdopodobniej mieli wolną chwilę, więc postanowili z niej skorzystać. Kto wie, jakie dziwactwa uprawiają sportretowani mieszkańcy płócien i starych klisz, kiedy nie pilnuje ich oko obserwatora?

„Demony naszą historię opowiadają” – przemawia wreszcie stojąca nieco z tyłu córka luterańskiego pastora Ola Mrakówna. Robi to z lekkim, filuterno-szyderczym uśmieszkiem, który nie znika z jej ust, kiedy wspomina o własnym zniknięciu, porwaniu, czy Bóg wie jak to wydarzenie, które życie całej miejscowości odmieniło, nazwać. Minęły już trzy lata z okładem. Hipotez, przypuszczeń, teorii (w tym też, rzecz jasna, spiskowych) powstało bez liku. Jasności jednak wciąż nie ma żadnej.

Przemieszczając się za plecami znieruchomiałych postaci, Ola kreśli obraz Sigły jako przestrzeni wyjątkowych wyznaniowych antagonizmów, gdzie „parę hektarów a wyznań sto, sekt pięćset, kościołów tysiąc, złotych cielców milion”. Gdzie „Baptyści z Wolnymi Chrześcijanami, Prawdziwi Synowie Mesjasza z Badaczami Pisma, Jehowici z Bezwzględnyymi Wy-

znawcami Chrystusa, Posłańcy Czasów Końca ze Strażnikami Paleniska Bożego”. Gdzie powrót do rodzimych stron z narzeczonym katolikiem bywa prawdziwym przestępstwem. A jeżeli nieszczęśnik ten, jak wybranek Julii Mrakówny, siostry Oli, ma do tego po papieżu imię Grzegorz, to już w ogóle szkoda gadać, tylko do rychłego drugiego przyjscia jak najpilniej się szykować. „Jedna córka przepadła, druga gotowa jest przepaść” – podsumowuje pastor Mrak tę przykrą dla jego zdolności do tolerancji sytuację i demonstracyjnie kładzie się na podłodze krzyżem, obietnicą własnego zgonu przypieczętowując niezgodę na taką hańbę. Nie – i jeszcze raz nie! Tym bardziej (o ile da się

skie wynalazki spod znaku recyklingu prymitywnego sprzętu domowego), widzimy pordzewiałe metalowe rusztowania. Jakby szkielet budynku. Jakieś drzwiczki, jakieś lustro, jakieś szafki. Wszystko zresztą tonie w półmroku. Tak samo jak cała geografia Sigły, jej przyroda i krajobrazy. Jedynie w nadsceniu wiszą, nie wiadomo skąd nadciągające, ciężkie obłoki z łowieckich siatek. Siatek na demony? Anioły? Boga samego? Wszystko więc, wśród tej umowności i minimalizmu, w słowie i słowem będzie kreowane.

Słowem Pilcha, ma się rozumieć, który, jak wiemy, jest mistrzem piętrzenia dygresji i z tematu pięknego, bo pięknego, zbaczania. Wspo-

Wiele demonów jest wyrazem ludzkiej tęsknoty za prawdziwym zadomowieniem. Za tym wyjątkowym stanem błogości, kiedy „komunikacja pomiędzy ziemią a niebem działała po ludzku”.

to jeszcze stopniować) w Wigilię Bożego Narodzenia! Przecież wiadomo, że jaka Wigilia... taki cały rok – cicho dopowiadają widzowie. Tych ostatnich reżyser Jacek Głomb usadawił wprost na scenie, z trzech stron zamykając rzędami krzeseł przestrzeń gry.

Pośrodku powstaje coś na kształt niewielkiego placu. Czarnego placu, bo w scenografii i kostiumach Małgorzaty Bulandy wyraźnie dominuje czerń. Czarne płaszcze, czarne czapki, czarne buty. Na tym tle wielką białą plamą – w sensie, a jakże, ścisłym – staje się płaszcz tego niepraktycznego (bezczelnie, grzesznie niepraktycznego w oczach siglan) koloru, który nosi syn naczelnika poczty, Kornel. Z tyłu, za wykorzystanymi w pierwszej scenie krzesłami (niektóre z nich to prawdziwe designer-

mnianemu oryginalnemu płaszczowi, żeby po pierwszy lepszy przykład sięgnąć, poświęca z piętnaście stron tekstu. Za to go zresztą cenimy i lubimy. I dlatego między innymi, jak podejrzewam, sam autor swoje książki za nie-teatralne uważa. Głomb jednak nigdy podobnymi deklaracjami się nie przejmował. Na scenach w Zielonej Górze i w rodzimej Legnicy zdążył już dwa razy zabić Gomułkę. Ma też na swoim koncie sceniczne wersje *Marszu Polonii*. W przypadku *Wielu demonów* Katarzynie Knysalskiej, adaptującej prozę Pilcha, udało się nie tylko uporządkować liczne wątki, a zważywszy na opasłość tomiska liczącego niecałe pięćset stron, dokonać odpowiedniej ich selekcji, ale też, przedzierając się przez te lasy wykrzykników i pytańników, poskromić

TEATR ŚLĄSKI
IM. STANISŁAWA
WYSPIAŃSKIEGO
W KATOWICACH

Wiele demonów
Jerzego Pilcha

adaptacja
Katarzyna Knychalska
reżyseria
Jacek Głomb
scenografia, kostiumy
Małgorzata Bulanda
muzyka
Bartek Straburzyński

premiera
19 stycznia 2019

Scena zbiorowa



fol. Przemysław Jendrośka

retoryczne zapędy jej autora. Podobnie jak Straburzyński, wydobyła to, co najistotniejsze: dramaturgiczne „mięso”.

Sigła w spektaklu Teatru Śląskiego to zamknięty świat, o którym pamięć pieczołowicie przechowywana jest w licznych historiach o jego mieszkańcach. Każdy z nich, oprócz tego, że jest teologiem czy wybitnym herezjarchą, sprawia wrażenie świadomego performera. Prawdziwego, oddanego swej sztuce, artysty życia społecznego. Od siglańskiego Rasputina, proroka z powołania i listonosza z zawodu, Fryderyka Moitscheka, Fryca (nieco błądy w porównaniu ze swym książkowym pierwowzorem, bo zbyt „ziemski” Arkadiusz Machel), po Naczelnika Poczty (poprawny Andrzej Dopierała), któremu w zupełności wystarcza wizja ludzkości jako prochu kosmicznego, który, pobywszy płazem i rybą, wyszedł na brzeg po patyk i możliwość pogawędki z innymi prochami o podobnym awansie ewolucyjnym.

Wśród galerii tak soczystych postaci wyróżnia się świetna kreacja Aleksandry Fielek w roli Oli. To jej demony naszą historię opowiadają. Sama zresztą ma w sobie coś ze statusu demona. Znajduje się jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz siglowego mikrokosmosu. Przerzucając akcję, przedstawia bohaterów, śmiało komentuje ich zachowanie. Coś ją śmieszy, coś gorszy. Widać jednak, że tęskni za tym utrac-

nym nie-rajem. Przede wszystkim za siostrą. Za imprezami, „na których picie wina i palenie papierosów miało być wstępem do nie wiadomo czego”. Za wspólnym ganiem na rolkach. Wyjątkowy z nich był duet. Po śmierci pragnęły być spalone (o czym, rzecz jasna, ani słowa ojcu, bo zabije... i nie spali właśnie!), za życia zaś epatowały zarówno nastoletnią seksualnością z nutką kazirodztwa i innych perwersji, jak i namiętym czytaniem zakazanych (bardzo zakazanych!) woluminów. Uwodziły w tym samym stopniu, co straszyły. Błuzniły, udając świętych.

Kiedy młodsza Ola zniknęła, starsza Julia najpierw zapadła na zdrowiu i ledwie nie umarła, żeby po szybkim wyzdrowieniu wpaść w erotyczny amok. Za pomocą wyliczanki („Ene, due, rike, fake, torbe, borbe, ósme smake, deus, meus, kosmateus, i morele – baks!”) wybiera sobie na ofiarę skromnego, bojaźliwego i wstydliwego Kornela (Kamil Suszczyk), tego od słynnego płaszcza, i grzeszy z nim wszędzie, gdzie tylko można. W sensie, znowuż, ściśłym. Nawet na Zameczku, w obecnej siedzibie radzieckich dygnitarzy. Właściwie dlaczego nie?

Historia siostr, pełna retrospekcji, domysłów i komentarzy, przerywana bywa a to przezabawną sceną niemożliwości wyniesienia trumny z domu, który to problem rozwiązuje jedynie cud owej trumny zmniejszenia, a to przygoto-

waniem kanapek za pomocą krajarki przez nadopiekuńczą matkę. Ale i one też są częścią ich historii. Bo sigłanie, chociaż nie monady, swoje drzwi i okna mają, noszą w sobie wszystkie cudze opowieści. Każdy dla każdego tu lustrem i od każdego do każdego – niech tam, że czasami niemiłosiernie kręta – a jednak jakaś drożynka prowadzi.

Porównania Sigły z Márquezowskim Macondo są więc jak najbardziej uzasadnione. Z *Miasteczkiem Twin Peaks* zresztą też. Szczególnie zważywszy na finałowe podsumowanie całego wątku kryminalnego retorycznym pytaniem: „Myślicie, że coś tu będzie pewne?”. *Wiele demonów* jest wyrazem ludzkiej tęsknoty za prawdziwym zdomowieniem. Za tym wyjątkowym stanem błogości, kiedy „komunikacja pomiędzy ziemią a niebem działała po ludzku”. Za herezją, bo możliwa jest tylko wtedy, gdy istnieje dogmat. Za grzechem, bo niemożliwy jest bez dobra i bez możliwości odróżniania pierwszego od drugiego. Za lekkością żartowania ze śmierci, bo wierzy się w zmartwychwstanie. Ale czy da się, czy warto, czy mamy prawo do takiej symbolicznej Sigły powrócić? Tego, jak podejrzewam, nawet demony nie wiedzą. A jeżeli nawet wiedzą, to w swoich o nas historiach tego nie zdradzają. I raczej nigdy nie zdradzą. Bo taka ich demoniczna natura. ■